
ROBERT SZYJANOWSKI

MANGYSTAU ŚWIAT NA DNIĘ

Woda wyparowała miliony lat temu. Pozostało słonawe wspomnienie zapisane w pustynnym krajobrazie. Wśród tonących w słońcu – śnieżnobiałych solnisk, kolorowych skał, wydm i depresji, odnaleźć można ukryte pod ziemią starożytne meczety i obserwować wyjątkowe obrzędy tutejszych mahometan. Od 1851 roku, kiedy to Bronisław Zaleski – zesłaniec w rosyjskim szynelu, rysownik, autor ciekawych relacji ze swoich stepowych podróży, został wyeks-pediowany na półwysep „Mangiszłak” i na rozkaz carskich władz przemierzał góry Karatau, żaden Polak nie zapuszczał się wnikliwiej w ten do dziś słabo znany, a pod wieloma względami wyjątkowy rejon.

Mangyszłak? Słowo usłyszane po raz pierwszy nie kojarzyło się zupełnie z niczym – pojawiło się 11 lat temu, na zachód od Irkucka. Spotkani na drodze Rosjanie rozpoczęli wyprawę do Chin i Tybetu. Paweł Kuśmierski i ja, po trzech miesiącach w terenie, wracaliśmy z podróży śladami Benedykta Polaka. Całą noc brataliśmy się na poboczu „federalki” – jak Rosjanie nazywają jedyną drogę łączącą Moskwę z Władywostokiem. Jeden z nich – Piotr (po paru wódkach Pietia) – opowiadał o jakimś nad wyraz ciekawym rejonie Kazachstanu, stwierdzając na koniec kategorycznie, że musimy tam kiedyś razem pojechać. To, co z jego entuzjastycznych wprost wywodów zostało mi w głowie, po latach skurczyło się do kilku niewyraźnych wspomnień i tego dziwaczного słowa. Może właśnie z powodu tej nazwy, a może okoliczności, w jakich pojawił się w atlasie świata ten dotąd utajony skrawek mapy, Mangyszłak przypomniał mi się po latach, kiedy zacząłem myśleć o ponownej podróży do Kazachstanu. Zabrałem się do poszukiwań informacji. W przewodnikach i w internecie znalazłem niewiele, ale dowiedziałem się przynajmniej, że obecnie obowiązująca polska nazwa regionu to Mangystau. Dopiero kiedy wpisałem w wyszukiwarkę to samo grażdanką – po rosyjsku, zacząłem rozumieć entuzjazm Pietii. Ze strony na stronę byłem coraz bardziej zaintrygowany. Potem dotarła do mnie jeszcze książka od niezawodnego profesora Antoniego Kuczyńskiego *Wspomnienia z Uralu i stepów kazachskich* (Wrocław 2008), z relacjami Bronisława Zaleskiego i z jego sztychami z północnej części Mangystau – książka z ekslibrisem, pewnie zdjęta prosto z półki. Ponieważ pozostało jeszcze sporo przygotowań do podróży, postanowiłem, że wspomnienia Zaleskiego tymczasem odłożę, a będę je czytał tam gdzie on je pisał – na pustynnym półwyspie.

Bronisław Zaleski

Warto przypominać tą nietuzinkową postać, do dziś jego dokonania budzą podziw. W czasie odbywania karnej służby w carskiej armii Zaleski przez

lata obserwował i opisywał tradycje ludów zamieszkujących stepy Kazachstanu. Podziwiał krajobrazy, poznawał stepowe zwyczaje i uwieczniał je na swoich rysunkach, w relacjach i listach. Jego ilustrowany album *La vie des steppes kirghizes* wydany w Paryżu w 1865 r. był dla Europejczyków przez długi czas jedynym źródłem wiedzy o Kirgiz-Kasjakach (Kazachach). Urodził się w 1819 lub 1820 roku we wsi Raczkiewicze, obecnie na Białorusi. W roku 1838 studiując na Uniwersytecie w Tartu (Estonia) został Zaleski uwięziony za działalność niepodległościową i zesłany do Czernihowa. Przebywał tam do roku 1845. Po powrocie ponownie trafił do więzienia, tym razem za swoją działalność patriotyczną w Wilnie, wcielony do carskiej armii i zesłany do Orenburga i na tereny Kazachstanu, gdzie pozostał do roku 1856. W 1851 r. uczestniczył w ekspedycji geologicznej Aleksandra Antipowa. Wraz z Tarasem Szewczenką, z którym bardzo się zaprzyjaźnił i Ludwikiem Turno poszukiwał węgla kamiennego na półwyspie Mangyszłak nad Morzem Kaspijskim. Na początku lat sześćdziesiątych przebywał w Dreźnie, Rzymie i Paryżu. Zajął się dostarczaniem broni dla ruchów niepodległościowych w Polsce i Białorusi. Zaleski był związany z kręgiem Hotelu Lambert. Był zaprzyjaźniony z Cyprianem Kamilem Norwidem i pisarzem Aleksandrem Pleszczejewem. Zmarł na gruźlicę w Mentonie (Francja).

Wątek ukraiński

Dotarcie samochodem ze Szczecina na Mangystau zajęło nam 9 dni. Byliśmy sami, Dorota i ja. Tak się złożyło – koledzy mieli inne plany. Z Pietią próbowałem się skontaktować, ale się nie odezwał. Przejechaliśmy przez Polskę, Ukrainę, Rosję i Kazachstan zatrzymując się po drodze na jeden dzień w Kijowie. Prawie pół roku po protestach i krwawych walkach na Majdanie, teraz ścierali się tutaj chcący uporządkowania placu mieszkańcy centrum Kijowa z wywołującymi nocne burdy zapijaczonymi „gierojami”, którzy bełkocząc o swoim często wątpliwym bohaterstwie i konieczności kontynuowania protestów, wciąż gnieździłi się w majdanowych namiotach. Tysiące ludzi skrzyknęło się w sieci i przyszło na plac, żeby uprzątnąć ogromne sterty śmieci i opony, które nie zdążyły spłonąć zimą na barykadach. Na okopconym na czarno placu teraz płonęły wojskowe namioty. Z dużego plakatu zawieszzonego na budynku Międzynarodowego Centrum Kultury przy ulicy Instytuckiej, tej na której zginęło kilkudziesięciu bojowników niebiańskiej sotni, na plac spoglądał Taras Szewczenko. Dziwnym trafem właśnie tego roku na Ukrainie obchodzono 200 rocznicę jego urodzin. Szewczenkę i Zaleskiego połączył wspólny zesłańczy los, romantyzm, zamiłowanie do sztuki i Mangystau, który teraz był także naszym celem. Poznali się w 1850 r. kiedy Szewczenko powrócił do Orenburga z wyprawy nad Morze Aralskie. Bronisław Zaleski miał mu pomóc w dokończeniu prac nad ilustracjami z tej ekspedycji. Niedługo potem w 1851 r. obaj wylądowali na półwyspie Mangystau. Zaleski pisał:

Dostawszy się do Orenburga w 1848 r., zastałem już tam Szewczenkę żołnierzem od roku w jednym z miejscowych batalionów, a pozostał nim jeszcze całych lat dziesięć. Położenie jego tyle było dotkliwszym od położenia wielu z nas, że wiek późniejszy trudniejszym czynił nałamanie się do musztry i życia żołnierskiego, a własnoręczny cesarza Mikołaja dopisek na wyroku skazującym

go na prostego żołnierza zabraniał mu pisać, rysować i śpiewać. Orłowi skrzydła związać, słowikowi gardziel zamknąć byłoby toż sam – i trzeba było zaiste wyłączonej, zaciętej nienawiści, aby dla poety, malarza i namiętnego miłośnika muzyki podobną wymyślić katuszę. [...] Jedno lato przyszło mi spędzić z nim razem w zakaspijskim stepie (na półwyspie Mangiszlak), podczas ekspedycji wysłanej dla szukania tam kamiennego węgla. Często rysowaliśmy razem i nieraz mawiał mi wtenczas, że rysując rzewliwie się modli, bo dziękuje Bogu za tę wielką pociechę, a w liniach stepowego konturu, w ździebełku trawy i biednego krzaczku pustyni czuje piękność stworzenia, mądrość i wszechmoc bożą. Pod wspólnym namiotem z wojłoku niejedna na rozmowie zesłała nam godzinę i on, zazwyczaj w sobie zamknięty, wtenczas roztapiał się czasem i wewnątrz duszy swojej otwierał. Ruś była ulubionym rozmów jego jak wszystkich myśli i uczuć przedmiotem.

Kazachski zaułek AD 2014

Półwysep zajmuje sporą część wschodniego wybrzeża Morza Kaspijskiego. Morze z nazwy – tak się przyjęło. Faktycznie jest wielkim słonym jeziorem, aktualnie największym jeziorem na globie. Razem z Morzem Czarnym i prawie już nieistniejącym Jeziorem Aralskim jest ono pozostałością po pradawnym morzu Sarmackim, uwięzionym 20 milionów lat temu przez przemieszczające się kontynenty. Cały przylądek, tak jak znaczna część kazachskich stepów, jest wyschniętym dnem tego przebrzmiałego akwenu. Dzisiejszy region administracyjny Mangystau ma powierzchnię prawie dokładnie taką jak połowa Polski. Żyje na tym obszarze ok. 380 tys. ludzi. Stolicą obwodu jest powstałe zaledwie 54 lata temu miasto Aktau, które w latach 1964-1991 nosiło nazwę Szewczenko. Nowopietrowsk przemianowywano kilka razy, aż w 1939 r. nadano mu dzisiejszą nazwę Fort Szewczenko. Ze względu na pustynny charakter i bardzo silne zasolenie gleby cały region cierpi wielki niedostatek wody pitnej. Aktau może funkcjonować wyłącznie dzięki odsalaniu wody morskiej, a w terenie z nielicznych studni ciągnie się ciecz mniej lub bardziej małosolna. Pod ziemią jest za to ropa i złoża gazu. W pobliżu stolicy znajduje się ponoć największa na świecie odkrywkowa kopalnia rudy uranu. Ta ziemia długo nie znała człowieka. Kiedyś omijany, surowy i prawie zupełnie jałowy kraj, teraz okazuje się dziedziną bogato obdarzoną przez naturę. Teraz region się bogaci – choć do Arkadii stąd daleko. Coraz bardziej intensywna eksploatacja bogatych złóż wywołuje dramatyczne problemy społeczne. Ledwie 4 lata temu w miejscowości Żanaozien – nafcjarskiej stolicy półwyspu, w wyniku akcji kazachskich służb zginęło ponad 70-ciu strajkujących nafcjarzy, a około 200 osób zostało rannych. Opowiadano nam, że przez kilka miesięcy miasto i okolice były otoczone przez wojsko i policję. Cała sprawa miała niewielki rozgłos poza Kazachstanem. Mangystau to ukryta niespodzianka, tajemniczy kazachski zaułek. Do dzisiaj mało kto się tu zapuszcza. Ten stosunkowo nieduży obszar (jak na Kazachstan) cechuje niespotykana różnorodność pustynnych krajobrazów i geologicznych osobliwości. Znaczna część półwyspu jest dosłownie pokryta skamielinami żyjących tu kiedyś stworzeń: ryb, gąbek, głowonogów, koralowców a nawet wielorybów. Od wschodu obszar ograniczają czinki (jak miejscowi nazywają urwiska) zachodniej krawędzi płaskowyżu Ustiurt, od zachodu niegorsze wybrzeże, a na południu granica Turkmenistanu i Zatoka Kazachska.

Zaleski miał pełną świadomość zjawisk geologicznych, które kształtowały tutejszy krajobraz. Pisał:

Kiedyś cała ta przestrzeń, dzieląca dziś dwa morza, Aralskie i Kaspijskie, pokryta była falami, powierzchnia wyraźne tego ślady nosi dotychczas. Siły wulkaniczne podniosły ją i uformowały wyniosłość Ustiuerta, a w jednym miejscu, w kierunku pasma Karatau, rozdarły nawet powierzchnię i wyniosły nad nią głęboko w łonie ziemi spoczywające dotąd pokłady, które te góry składają

Krajobrazy Mangystau są istotnie niezwykle. Absolutną piękną jest Depresja Karynżaryk. Zaleskiemu nie udało się dotrzeć aż tak daleko na południowy wschód. W swoich relacjach nie wspomina o tutejszych depresjach w ogóle, a w całym regionie jest ich wiele. Najgłębsze są Czarne Usta – Karakija. To piąta depresja na ziemi (132 m p.p.m.), ale poza rankingiem i nazwą nie wyróżnia się niczym specjalnym. Jej dnem prowadzi asfaltowa droga z Aktau do Żanaozen. Piękna Karynżaryk leży na 70 m p.p.m., w rejonie trudno dostępnym i bardzo rzadko odwiedzanym.



Depresja Karynżaryk, fot. Dorota Szyjanowska

Dotarcie z Aktau do jej południowej krawędzi zajęło nam dwa dni. Ledwo przebiliśmy się przez pustynię (o tej samej nazwie) otaczającą depresję od zachodu, kiedy natknęliśmy się na kazachskich pograniczników (dwadzieścia kilka kilometrów od granicy Turkmenistanu). Ścigali nas wzniesając tumany pustynnego pyłu podskakującą na bezdrożu jak zabawka ciężarówką. Daliśmy się dogonić po kwadransie. Potem, już zaaresztowani, pod bronią zostaliśmy odeskortowani do niewielkiego posterunku. Wojskowi przenikliwie przeszli pod słońce kartki naszych paszportów, potem zaczęli sprawdzać samochód. Wszelkie podejrzenia przełamało odkrycie przez nich wśród bagaży butelki zubrówki – a to co? Nie zastanawiając się długo oznajmiłem, że to właśnie jest prezent, który specjalnie dla nich przywieźliśmy aż z Polski. To załatwiło sprawę.

Pół godziny później po raz pierwszy zobaczyliśmy wysadzone różowymi skałami lśniące solnisko spoczywające pod urwiskiem płaskowyżu. Pięć odosobnionych, kolorowych gór wznosi się wysoko ponad płaszczyznę śnieżno-białego dna, ciągnącego się z południa na północ na długości 80 km. Wieczorem podziwialiśmy Karynżaryk z góry, z płaskowyżu. Różnica wysokości między dnem depresji a krawędzią Ustiurt dochodzi miejscami do 400 m. Skała i przestronność tego fantastycznego krajobrazu jest trudna do uchwycenia – oszałamiająca. Jeśli ktoś lubi pustynię, Mangystau zachwyci go swoją różnorodnością oferując wiele nadzwyczajnych miejsc i przeżyć. Pomiedzy pasmami Karatau i Aktau stoi potężna Góra Szerkała (Tygrysia) – ponad 300-metrowy, odosobniony, ogromny ostaniec, nad którym zachwycał się Zaleski i który uwiecznił na jednej ze swoich rycin. Cały przylądek pokryty jest polami powstałych na dnie morza wapiennych konkrecji. W miejscu zwanym Torysz, jedna przy drugiej zalegają tysiące wielkich kamiennych kul (do 4 m średnicy). Wspomina o nich także Zaleski:



Góra Szerkała, fot. Robert Szyjanowski

Prawie nie spotykaliśmy autów, aż przeszedłszy 25 verst, spuściliśmy się drogą krętą i zewsząd osadzoną kamieniami na rozległą dolinę Ułaszek. Z jednej strony opasywały ją piaszczyste wzgórza, usłane kamieniami okrągłymi jak bomby, jak gdyby tam grad kamienny padał.

Zadziwiało nas piękno i różnorodność scenerii, które odkrywaliśmy podróżując (fragmentami) śladami Zaleskiego i eksplorując także tereny, do których on nie dotarł: cieliste wydmy pustyni Bostankum, Tamszały (Wesołe Kropelki) – urwisko, z którego sączy się podziemna rzeka tworząc piękną oazę, czy wyrastające z białej kredowej pustyni rudawe skały Boszira – wszystkie tak piękne jak surowe, wszystkie zagadkowe jak tutejsze legendy, które czasem opowiadają fantastyczne historie o ich powstaniu. Wszędzie silny, gorący wiatr i przerażające słońce.

Tu kończyło się wyższe pasmo Karatau, a od niższego oddzielały je góry Aktau, piękniejsze tutaj niż gdziekolwiek. Zupełnie jak zamki dawne lub gmachy fantastyczne wyglądały; naokoło cały wianek gór takich otaczał Karatau. Każda z nich miała osobne nazwanie, jak Usirtau, Akmyntau, Kajraktau, wszystkie w ogromnych rozmiarach, białe, z różowawą na wierzchu warstwą, jakby dachem, z kolumnami niby rozmaitych porządków i posągami. Wszystko to słońce nieraz oświecało fantastycznie, rzucając obłoki rozmaitej barwy na te olbrzymie ściany. Nieraz byłem w zachwyceniu. Pusta strona, drzewa żadnego nigdzie, kreda tylko i glina, a z tak nędznych zdaje się materiałów taka piękność powstać mogła. Bryłą kredy, warstwą gliny, rozlany po nich promień słońca – i Bóg arcydzieło stworzył. Najbardziej zastanawiającą spomiędzy tych gór wszystkich jest tak zwana Czirkała. Choć inne są piękniejsze, ale forma tej odrębna i wielka płaszczyzna, na której się wznosi, bardziej od wszystkich innych robi ją wydatną. Prócz tego podania kirgizkie ubrały ją w pewnego rodzaju poezję. Na wierzchu tej góry miała być twierdza, której załoga bardzo długie oblężenie wytrzymała i wtenczas zdała się dopiero, kiedy oblegający podkopali się pod górę i obcinając powrozy spuszcanych po wodę wiader, pragnieniem do poddania się ją zmusili. Tak mówi podanie, a góra znajoma jest tym u wszystkich Kirgizów.

Siedziałem na przełęczy dokładnie w tym samym miejscu, z którego 160 lat wcześniej musiał szkicować górę Zaleski. Czytałem i przyglądałem się rycinie w książce i widokowi przede mną. Różnica była nieznaczna. Byłem w stanie – jak on – ogarnąć wzrokiem niewielki, północny fragment ogromnego wapiennego ostańca i pojedynczą skalną wieżę stojącą tuż przy zupełnie pionowej ścianie Czirkały. Brakowało odjeżdżającego na baktrianie Kirgiza, niebo było niebieskie, a krawędzie skał odrobinę bardziej wyszczerbione.

Ogień i meczety w głębinach

Nieznany u nas Mangystau w swoim regionie słynie jako kraina świętych miejsc. Zupełnie niespotykana jest tu ilość starożytnych mazarów i unikalnych podziemnych i skalnych meczetów. Na półwyspie jest ich wszystkich dokładnie 362. Meczety z Mangystau w niczym nie przypominają typowych muzułmańskich świątyń z kopulastymi dachami i minaretami. Niektóre, położone w odludnych miejscach, trudno w ogóle odnaleźć w terenie. Ich kształtowane przez naturę starożytne fasady bezustannie poprawiane przez wiatr i wodę, nie noszą prawie żadnych śladów ludzkiej ingerencji. Niektóre można rozpoznać jedynie po małym, nieregularnym otworze wejścia lub okrągłych świetlikach. Wnętrze – to z reguły niewielka, pojedyncza grotta wygrzebana w miękkim ile albo wykuta w kredzie, czasem zupełnie surowa, gdzie indziej skromnie zdobiona. Chyba najpiękniejszym przykładem takiej iście organicznej architektury jest podziemny meczet Toliegien Eulije. Trzeba go szukać przy polach konkrecji Torysz. Nieco inne w charakterze, ale jedne z najpiękniejszych spośród tutejszych meczetów: Szakpak Ata (XIV w.) i Sułtan Epe (XIII w.) zachwycają swoją prostotą, atmosferą i położeniem. Miejsca medytacji i modlitwy kryją w skalnych ścianach krypty ze szczątkami swoich twórców, nauczających tu sufich, których na półwyspie obdarza się przydomkiem Ata (ojciec). Najstarsze pochodzą nawet z IX wieku. Najważniejsze z nich, Szopan Ata i Beket Ata, ściągają tu pielgrzymów z odległych rejonów kraju a nawet z Uzbekistanu i Turkmenistanu. Stare mazary to przede wszystkim miejsca pochówków baty-

rów (bohaterów), którzy przez wieki wstawiali się zbrojnymi czynami w wojnach o władanie nad tym obszarem. Na niektórych kamiennych nagrobkach wykuto ich oręż: szable, topory i dzidy. Zaleski przyglądał się z zaciekawieniem tutejszym zwyczajom i świętym miejscom:



Skąły Boshira, fot. Robert Szyjanowski

Blisko Czirkały mogiła Dalismena, z żerdziami, czaszkami wielbłądzimi i rogami acharów jak zwyczajnie. We wzgórzu, złożonym ze stwardniałej gliny i piasku, jest grota malutka, przez otwór w górze oświetlona; pewnie w niej święty mieszkać musiał. Dotychczas to miejsce w wielkim jest poszanowaniu u Kirgizów: w chorobach i wszelkiego rodzaju niepowodzeniach uciekają się do świętego, zabijają w jego grocie barany, modlą się i wierzą w cudowność tego miejsca.

Tutejsi mahometanie (sunnici) powrócili już na dobre do swojej wiary, po wielu latach bezwzględnej walki z religijnym uzależnieniem w czasach Związku Radzieckiego. Lokalny islam jest wyjątkowo synkretyczny. Przede wszystkim rzucają się w oczy elementy charakterystyczne dla pierwotnych wierzeń Wielkiego Stepu i szamanizmu. Wyraźny ślad pozostawił tu także zaratusztrianizm, z którego zachowały się resztki kultu ognia, bardzo rzadko spotykanego we współczesnej muzułmańskiej obrzędowości. Widzieliśmy ludzi wzniciających płomienie przed meczetami i na cmentarzyskach, a także ofiary ze zwierząt składane przed wejściami do grobowców. Przydarzyło się nam także wziąć udział w modlitwach w dwóch wspomnianych meczetach. Szczególnie grota przy grobie ojca Szopana zrobiła na nas wielkie wrażenie. Zupełnie surowa niewielka pieczara, jedno z kilku pomieszczeń tej świątyni wykuto w jasnej skale. Jej ściany wypełniają wnętrza jakby emanującym z kamienia chłodnym światłem. Krypta niewielka, pomieści może 20 osób? Stłoczeni pielgrzymi

szeptając zasiedli na dywanach. Mężczyźni zgodnie z mahometańskim zwyczajem zajęli wyższą stronę lekko nachylonej podłogi, bliżej grobu Szopana. Kiedy już wszyscy się usadowili imam z rutynową bezceremonialnością rozpoczął modlitwę. Ludzie opuścili powieki, jakby chcieli je położyć na otwarte dłonie i w niezwykłym skupieniu modlili się bezgłośnie poruszając ustami. Jakby na przekór temu co dzieje się aktualnie w świecie islamskim, tutaj byliśmy otaczani zupełnie bezinteresowną sympatią. Nawet w meczetach nie traktowano nas jak gjaurów, pozwalając uczestniczyć w wyjątkowych obrzędach i modlić się po swojemu do naszego (bądź co bądź) wspólnego Boga. Po modlitwach razem ze wszystkimi pielgrzymami zasiadaliśmy do poczęstunku. Jedząc chleb i bałyrsaki, popijając herbatę, rozmawialiśmy o wspólnym bogu, o tutejszej religii i zwykłym życiu. Na półwyspie poznaliśmy wielu ludzi. Od niektórych ciężko było się wyrwać, jak to bywa wszędzie tam, gdzie obcy rzadko się pojawiają. Spośród nich najbardziej wspominać będziemy Dujszienbieka, który opiekuje się grobem Tolej Iszan Ata i od wielu lat żyje zupełnie sam, przy studni, w okolicy skał „Boszira”. Byliśmy u niego dwa razy. Na koniec obdarował nas chyba najcenniejszymi rzeczami jakie sam posiadał: białymi chustami i brokatowym materiałem. Przed odjazdem na znak przyjaźni wymieniliśmy się czapkami.

Lokalny klimat ma wyraźnie pustynny charakter. Lata są tutaj upalne i suche, zimą bywają mrozy, zdarza się śnieg. Będąc w sierpniu na południowo-wschodnich skrajach przylądka dowiedzieliśmy się, że nie padało tu od czterech miesięcy. 50 stopni to na tym obszarze latem rzecz zwykła, jak mówią tubylcy, a podobno są tu miejsca, w których notowano temperatury dochodzące do 60 stopni w cieniu. W cieniu?! Praktycznie nie ma tu szans na znalezienie jakiegokolwiek naturalnego schronu przed palącym słońcem. Warto mieć jakiś „parasol”, szczególnie jeśli chce się gdzieś zakotwiczyć na dłużej. Bez ciemnych okularów nie da się przeżyć. Temperatury mogą się wydawać nieznośne. Jednak dzięki pustynnym właściwościom tutejszej aury: zerowej wilgotności i bardzo silnym, stałym wiatrom, upały nie są aż tak dojmujące jak przeszywająca susza. Zaleski pisał o tym tak:

W tych to warunkach największe upały wytrzymać musieliśmy. Krajowcy utrzymywali, że lato nie było wcale gorące, a jednak termometr Reaumura, który mieliśmy z sobą, bardzo często 46 do 47 stopni ciepła pokazywał, prawda, że na słońcu. Ziemia, szczególnie tam, gdzie grunt był piaszczysty, tak się nagrzewała, że przez podeszwy paliła. Nic robić nie podobna było od pierwszej do trzeciej, bo to godziny najsilniejszego skwaru. Deszcz ani razu odświeżyć nas nie przyszedł, rosy nawet nie było. Jedynym środkiem ratującym nas od upałów była gorąca herbata, której ogromnie wiele wypijaliśmy. Ale za to deszcze piaszczyste nawiedzały nas często, bo kiedy w stepie powstanie zamieć, to i słońce zakryje, i wszystko piaskiem zasypie. Kłęby piasku wiatr pędzi przed sobą, a w kilku miejscach białe słupy, jakby wiry czy świdy piaszczyste, wznoszą się pod niebo. Czasem ich kilka od razu w różnych kierunkach postrzec można, a przy jasnym słońcu jeszcze w tęczowe kolory stroją się niekiedy.

Po półwyspie wiodły nas przede wszystkim gliniaste stepówki. Wyraźne, momentami aż nadto głębokie koleiny buchające gęstym, żółtawym pyłem, nieraz spłycały się i w końcu gubiły zupełnie na solniskach, piaskach lub skałach. Orientowaliśmy się używając starych, ale dokładnych kazachskich i rosyjskich map. Nie spieszyliśmy się. Nasz samochód przygotowany do dłu-

gich terenowych wypraw, pozwalał nam dotrzeć w każde wyznaczone miejsce i był nam domem przez całe 5 tygodni. Można w nim rozłożyć prawdziwe łóżko z moskitierą, jest kuchenka gazowa, zbiorniki na wodę i 150-litrowy bak paliwa, który wystarczy na 3-5 dni jazdy w terenie. W sumie pokonaliśmy ponad 12 tys. kilometrów. Wróciliśmy do Szczecina w końcu sierpnia oczarowani tak jak Bronisław Zaleski tym prawdziwie osobnym światem na dnie, jak i plastycznością opisów jakie poczynił tu nasz świetny „przewodnik”.

Często chodziłem robić studia z natury i wtedy spotykałem także Kirgizów. Zdarzało się, że po całych godzinach siedzieli przy mnie, przypatrując się rysowaniu. Raz prosiłem jednego, żeby mi śpiewał, bo jest coś oryginalnego, nawet miłego w ich śpiewie; zgodził się, ale żądał, żebym mu także śpiewał. Zupełnie głosu nie mam, ale jak mogłem, tak rozmaite piosenki nuciłem, a on mnie dziękował swoimi. Na koniec pyta mnie o imię i improwizuje ogromnie długą pieśń na pochwałę nowego Tamara (przyjaciela), w której imię moje, najdziwaczniej przekręcane, co chwila powtarzane słyszałem. Śpiewał tak długo i w końcu przyrzekliśmy sobie przyjaźń. Miał zejść nazajutrz, ale musiało mu coś przeszkodzić, bo nie przyszedł, a my wkrótce opuściliśmy Hanga-Babę, wracając do Nowopietrowska. Zabawiwszy dni kilka w Nowopietrowsku, tą samą drogą przyjechaliśmy do Orenburga.